№ 3. 19. Stycznia 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wild a we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: „**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**"

Wiadomém jest dość powszechnie, że narodowość polska i język polski zamiast upadać, obumierać, krystalizować i sanskrytyzować się (jak im to pan Jarosz Bejła przepowiedział), przeciwnie coraz świeższém oddychać poczynają życiem, i ku wielkiemu zgorszeniu (może nawet jonaszującego proroka) wyrastają i rozkrzewiają się tam, gdzie ich się najmniej spodziewano, gdzie je pod cudzym żywiołem już na wieki martwemi mniemano.

Chcemy tu mówić o wzbudzeniu i wzroście literatury polskiej na Szląsku pruskiém. Wzrosła i utrzymuje się pracą i staraniem pojedyńczych czcigodnych mężów, lecz właśnie to, iż przyjęła się i wzrasta, dowodzi, że znalazła grunt i możliwość po temu, bo jest tam swojską, bo jest u siebie. Przyzwyczajono się prawie, tak u nas jak i u cudzych — na piśmiennictwo szląskopolskie poglądać z góry, i w porownaniu z ogólną literaturą polską mienić je początkowém i w pieluchach. Z jednej strony na rzecz zapatrując się nie będziem i nie możemy przeczyć takiej wyroczni; lecz z drugiej — o ileż nas wyprzedziło to dziécię w pieluchach? Na Szląsku wychodzi przeszło pięć pism czasowych, dziełka popularne rozprzedają się w kilkotysięcznych egzemplarzach. Piśmiennictwo wyszłe z ludu i pracujące dla ludu podnieca i zaspokaja zarazem potrzeby umysłowe tegóż ludu, rozkrzewia narodowość i oświatę aż pod strzechami wieśniaków. Kiedyż my na tym stopniu staniemy?—

Jak pocieszający jest ruch ten umysłowy dla każdego, komu tylko ogólna oświata człowieczeństwa nie jest obojętną, tak znowu śmieszne i oburzające są napady nań niechętnych i przeciwników; jak n. p. pana Dra J., który w pewném literackiém piśmie berlińskiem*) występuje jako polityzujący belletrysta. Na pozór niby bezstronny, filozoficzny i kosmopolityczny filantrop, jest jednak z rodu tych, o których powiada Słowacki:

- - - w oczy patrzą oczyma złotemi,
A chcą z pod ducha wyjąć kawał ziemi.

Ze źle ukrytą zawziętością stronnictwa widzi w ruchu literackim szląskim tylko skutki agitacyi polskich; martwi go nawet biedaka konstytucya państw austryackich, że według niej Szlązakom w Austryi żyjącym może być wolno mówić i uczyć się nie poniemiecku; znawca doktór pisze panegiryk dialektyce ministeryalnej, która w ogóle przyrzec wszystko, w szczególe odmówić wszystkiego w jednymże okresie potrafi, a nakoniec zmierzając do niewinnych słówek „*sine ira et studio*" nie może jednak przełknąć pogróżki, że „narodowość niemiecka będzie umiała dobrze obranemi środkami" (connu!) temu zapobiedz.

Znajomo już, czego się można spodziewać po wszystkich filozoficzno-kosmopolitycznych doktorach od Dra A. aż do Dra Z.; i nie tu należałaby może odpowiedź dla nich. Lecz że rękawicę porzucono w piśmie belletrystycznem, przeto mniemaliśbyć upoważnionymi do tego odwodu, kończąc szczerej nasz artykuł niżeli Dr J. także powiedzeniem łacińskiém: *si natura negat facit indignatio.*

*) Magazin für Literatur des Auslandes.

Wspomnienia Afryki i Hiszpanii.

(Ustęp z życia.)

Podczas mego pobytu we Francyi tak miałem rozbudzoną wyobraznię kampaniami francuzkiemi w Algierji i fantastycznem życiem tamtejszém,

iż w końcu ogarnęła mię nieprzezwyciężona chęć zwidzenia tej kolonii francuzkiej.

Jakoż w miesiącu Lipcu 1845 r. dyliżans Lafitte szybkim pędem unosił mnie do Lyonu; z tamtąd statek na Ronie do Marsylji, gdzie wsiadłem na okręt, który na swym pokładzie miał mnie przenieść przez powierzchnię morza śródziemnego do Afryki, tego kraju o skwarném niebie i o puszczach piaszczystych, gdzie bez chmur i mgieł iskrzy to piękne i pogodne niebo, zasiane gwiazdami—rozważane z całym powabem przez pasterzy arabskich, pierwszych astronomów starożytności; gdzie rozległe pustynie piaszczyste w których gorejące promienie słońca są tak straszne dla wojownika i dla karawany. Z niecierpliwością oczekiwałem końca podróży by czémprędzej poznać ten kraj pełen poezji, pełen świętych wspominień głębokiej przeszłości, te namioty patryarchów spoczywających w cieniu drzew palmowych i cyprysowych.

Temi myślami skracałem podróż morską — a na drugi dzień słońce rozpromieniło cienie nocy, upał zaczął dogrzewać, — cały pokład był w ruchu ujrzano bowiem na horyzonie jasnym i błękitnym punkt czarny, który nieznacznie stawał się coraz wyraźniejszym; był to cel naszej podróży, był to Algier. — Wybrzeża Afryki są najwspanialszemi widokami, jakiemi stwórca obdarzył brzegi morza śródziemnego. — Nadbrzeżne okolice Algieru pełne są wdzięku, powabu i rozmaitości; — widoki uśmiechające się, bogate, gdzieniegdzie melancholiczne, zawsze jednak godne uwielbienia podróżującego. — Przed zdobyciem Algieru wybrzeża te były nieprzystępne dla okrętów chrześcijańskich.

Algier — którego białe minarety i wieże naszych kościołów czynią malowniczym, dumnie wznosi swe czoło nad wspaniałą powierzchnią morza — i przedstawia oczom przybywającego, cudnie wspaniały i zachwycający obraz.

Spoglądałem na niego okiem pełnym nadziei; — spodziewałem się, że tam nas czeka Oazis, chłód pod cieniem drzew palmowych, uprzyjemniony powiewem zefirów północy, zapachem woni indyjskich — chłód tak pożądany pod gorejącemi promieniami słońca afrykańskiego. — Lecz jakiż zawód spotkał moje oczekiwania! Okręt za przybyciem do portu miasta stanął, wiatr powodowany szybkim pędem statku ustał — my zaś uczuliśmy się wsród większego jeszcze gorąca, niż jakie się na morzu czuć dało. — Upał stawał się tak dokuczliwy — że tylko szkieletowata budowa Arabów i Beduinów, karmionych figami i daktylami, zdolna być wytrwałą na temperaturę tego klimatu; — ja zaś mieszkaniec północy — lodowatej Polski — rzucony nagle w pałającą sferę Afryki — chłodziłem się w onczas wspomnieniami naszych ostrych mrozów krajowych.

Za przybyciem do miasta, pierwszą czynnością moją było udać się do kąpieli, gdzie kazałem się wymyć, wytrzeć szczotkami i wyperfumować całkiem podług zwyczaju krajowego, — poczem dopiero przedsiewziąłem rozpoznanie miasta i mieszkańców jego. —

(Dokończenie nastąpi.)

Kornel Ujejski.

Do celniejszych pisarzy już w teraźniejszości, a do przedniejszych nadziei na przyszłość w dziedzinie poezyi należy bezsprzecznie Kornel Ujejski. Dosiągł on tego zaprawdę wysokiego stanowiska, iż w pieśniach swoich stał się serdecznym wyrazem narodu swego; bo bez przesady mówiąc — skargami jego skarzyły się wszystkie serca dotknięte klęskami narodu. W téj mierze ogólne pozyskał uznanie.

Wcześniejsze, choc później ogłoszone *) pomniejsze pisma jego surowszemu uległy sądowi. I słusznie! bezwzględny osąd nie mógł i nie powinien wypaść inaczéj.

Wiadoma rzecz powszechnie, że poezya naszych czasów minęła już stopień podmiotowych i jednostkowych walk i rozdarć i rozpacz; bo od kilkunastu już lat krytyka każdemu z poetów to prawi. A jeżeli sentymentalne spowiedzie tych zatwardziałych grzeszników bywają jak dwie krople do siebie podobne, to nie mniéj i narzekania na ten ich grzech pierworodny są jednostajne i stereotypowe; a różnią się pomiędzy sobą tylko mniéj więcéj dobrą wolą, tylko większym lub mniejszym przysmakiem soli atycznéj.

Dla nas kwiaty bez woni i liście zwiędłe mają wartość tylko jako ślady przebytéj drogi, którą poeta już poza sobą zostawił. Et hoc meminisse juvabit.

W dotychczasowym zawodzie Kornela Ujejskiego rozróżnić wypada trzy stanowiska. O p i e r w s z é m pasowa-

*) Kwiaty bez woni — chociaż dopiero w r. 1848 z druku wyszły, oddane były w saméj istocie jeszcze w 46tym pod cenzurę; i dopiero po zniesieniu tejże pojawić się mogły.

niu się ze sobą i z formą języka mówić nie będę. — Na drugim stopniu stanął nasz poeta, kiedy przeniknięty wskroś duszy męczeństwem narodu swego, upokorzył się przed Panem świata, w jego zakonie szukał natchnień, i jemu się modlił i skarżył. Było to stanowisko *uczucia* narodowego, lecz jeszcze nie myśli narodowéj.

Nie pozostał U. na tym stopniu; i to mu za zasługę mieć śmiemy, bo nie został. Lecz z ostatniéj periody nic znamionującego nie pojawiło się oprócz Wtorego Chorału, w którym „jejmość pani poezya goniąc za publiczną opinią wynalazła w błocie uliczném teoryjkę” **) że naszém hasłem krzyż a miecz!

By czytelników wprowadzić na pokusę zostania dilettantami osądzania, (o których jednak nie wszędzie dobrze tuszą) — przytoczymy tu początek z nieogłoszonego dotąd dramatu „Samson”.

AKT PIERWSZY.

Scena pierwsza.

Namiot pasterski — w głębi odsłonięty widok krajobrazu — po bokach siedzą rzędem służebnice zajęte to skubaniem wełny, to szyciem — między niemi Lami — *na przodzie* Zefora *przędzie — na bocznéj ścianie wisi miecz — przedwieczorze.*

ZEFORA.

Lami! pójdź bliżéj — patrząc w twoje oczy
Przędza méj myśli w śrebną nić się stroi,
I z tobą szczęście w moje serce kroczy
Bo mi się zdaje, że to córka stoi.
A nie mam dziecka, coby w każdej porze
Śmiało się ze mną, lub cierpiało społem,
A kiedy smutne nadejdzie wieczorze
Lało mi w duszę światłość jasném czołem;
I zawsze mową pieszczoną i gładką
Jak złotą struną brząkało by: — Matko!

LAMI.

A syn twój? syn twój —

ZEFORA.

O! syn co innego —
Jemu do życia namiot nie wystarczy,
Jemu za mało głosu matczynego,
Matczynych pieszczot i matczynéj tarczy;
On nie potrafi śnić cichym pokojem,
On mąż — stworzony do czynu, do znoju —
W życie jak w obóz broniony — przebojem
Pójdzie, — zwycięży, albo legnie w boju.

LAMI.

To dziękuj matko! to dziękuj Jehowie,
Że ci dał syna, co w olbrzyma rośnie,
Że ci zostawił oczy w staréj głowie,
Któremi witać możesz go radośnie.
Bo syn twój może w téj walce się wsławić,
I zostać wieńcem dla swego narodu;
A wtedy matko! będziesz błogosławić
Chwili poczęcia i bolom porodu,
Bo takie imie po sobie zostawi
Że tém imieniem grób ci zamurawi.

ZEFORA.

O! grzesznam wielce! szemrzę przeciw temu,
Co mi pochodnią jest na stare lata,
I gniewam dziecku — dziecku jedynemu,
Że trochę wyżéj nad myśl mą ulata;
I chciałam zamknąć w niewieście uściski
Tyle przyszłości i tyle nadziei,
I chciałem wtłoczyć pod domu strop niski
Głowę olbrzyma . . .

LAMI (dobitnie)

I zbawcę Judei,

ZEFORA (z trwogą)

Co mówisz Lami?

LAMI

Wiedz o tém Zeforo...

ZEFORA (przerywając)

Zaczekaj chwilę —

(do służebnic)

Zapewne tą porą
Trzoda z pól wraca — wy idźcie do trzody —
Lea z drugiemi pod Sarai bramę
Pojdzie z cysterny czerpać świeżéj wody —
Spieszcie się córki! (służebnice odchodzą)

Ha! jesteśmy same —
Zbawca Judei!? Lami! kto ci mówił?
Czy wiesz, że gdyby kto te słowa złowił,
I włożył w czujne ucho Filistyna,
Jużbym żywego nie widziała syna!?
Czy wiesz ty Lami — że przez lat czterdzieści
Od kiedy naród przed Jehową zbłądził
Nie było męża, coby wrogów sądził;
A teraz nagle rozchodzą się wieści,
Że nowy sędzia śród ludu powstanie.
O! to strach wielki padł na Filistynów!
Jeśli którego zdybią z naszych synów,
Różnym pozorem zdłużają spotkanie —
Witają, kuszą a wzrok ich jastrzębi
Szpieguje ruchy, bada młode czoła,
Czy na powierzchnię marszki nie wywoła,
I czyli ujrzy w otwartéj ócz głębi
Zemstę tygrysa, lub spokój gołębi.
Dotąd Samsona nie zbadał źrenicę
Wróg, choć ją badał chytrze a boleśnie;
A ty z kąd Lami! znasz jéj tajemnicę
Kto ci ją mówił? powiedz!..

LAMI.

Anioł we śnie —

**) Słowa krytyka w dodatku literackim do Czasu Nru 5go z 1849.

(po chwili smutno)
Zeforo, kiedy wglądam w twoją trwogę —
Chociaż mi serce ściska się boleśnie —
Nieufność matki przyjmuję z pokorą.
Sługa — sierota! Jednak pojąć mogę
Co to jest matka! Słuchaj mnie Zeforo —
Ty wiesz, kto jestem — licha służebnica!
Nic swego nie mam, nic — na całem świecie;
Z jałmużny daje mi wody krynica
Przez litość tylko pachnie dla mnie kwiecie.
Bóg w swej mądrości wiedział, co dać komu.
Jnnym z pogardą on pod stopy rzucił
Złoto i władzę — i rozkosz bez sromu,
Ale też od nich oblicze odwrócił,
I rzekł im: Idźcie dla was dałem dosyć!
A mnie com wzrosła bez matki, bez domu,
Co nic nie mając o nic nie śmiem prosić,
O! on mnie kazał aniołom piastować,
Rosą nakarmiać, na swych skrzydłach nosić,
I kruche serce do bolu hartować.
A nieraz senną gdy mnie noc otoczy,
Anioł nademną zawiesza swe oczy,
Biały jak lilja nad wodą chwiejąca;
On się przegląda w mej duszy przezroczu —
Usypiam — potém widzę czuwająca
Jeszcze w mém łonie odblask jego oczu.
Wednie jam cicha, pokorna, cierpiąca,
Dzień każdy muszę zapracować łzami,
Aby zapłatę w noc odebrać — snami;
Wtedy się staję pańską powiernicą!
Gdy rzucę myśli o mojem narodzie,
To się zwiększają, jak kręgi na wodzie,
A jego dzieje tak mi jasno świecą!
Co tylko styczność ma mieć z moim ludem,
Na me zaklęcie odsłania się cudem,
Tajne wyrocznie zdejmują zasłonę,
I stają nagle widne — niestrzeżone,
I jakie losy dłoń Jehowy waży
Dla tego ludu, co zastyga w trumnie —
Wszystko mi znane, i wszystko to u mnie
Wnet się odbija w sercu i na twarzy.
O! to wiesz teraz zkąd — jak zapewniona
Zbawcą Judei nazwałam Samsona,
Jak tajemnicę, której nikt nie wiedział
Prócz Boga w górze — anioł mi powiedział.

ZEFORA.

Prócz Boga w górze — i prócz mnie o Lami!
I zemną anioł rozmawiał — nie snami,
Ale w dzień biały — nim syn się narodził;
Dwakroć z tą wieścią z nieba do mnie chodził.
(Bebraim pokazuje się w głębi, i staje przy wchodzie)
Ja i Manue wyszliśmy na pole —
A wtém nas światłość niezmierna otoczy
A w niej się tęczy mieniło półkole.
I gdyśmy trwożni otworzyli oczy
On stał przed nami i rzekł: Takie słowa
Przez moje usta mówi wam Jehowa —
Słuchaj niewiasto! oto zrodzisz syna,
A syn twój będzie nazarejczyk boży;
Strzeż, by nie dotknął sycery ni wina,
Strzeż, by na życiu nie miał cienia zmazy
Bo mu się serce zmiękczy i zatrwoży,
Gdy czas nadejdzie Izraela zbawić,
I Filistynów wojować i dławić! —
Milczcie do czasu! —

BEBRAIM.

(Niewidziany mówi na stronie z szyderstwem)
Jak pełni rozkazy! —

ZEFORA.

Myśmy oboje na oblicze padli,
A gdyśmy potém Bogu w dziękczynieniu
Na stos płonący ofiary pokładli,
Anioł uleciał w płomieniu.
O! jakże byłam mojem szczęściem dumna,
Gdy się syn zrodził, co pod mojem okiem
Rósł jak pod ręką rzeźbiarza kolumna.
O! jak po świecie, po niebie szerokiém
Chciałabym jego nadejście obwołać!
Nieraz, gdy widzę, jak pod wrogów ciosem
Judzkie niewiasty z rozpuszczoném włosem
Biegą po polach i płaczą żałośnie —
Chciałabym w tenczas w głos za niemi wołać:
Bądźcie cierpliwe! patrzcie, syn mój rośnie! —
Musiałam milczéć — i ty milcz na Boga —
Bo go zabiją!...

BEBRAIM (na stronie)

Za poźna przestroga!
Niech wie Filistyn....
(Ręką machnął, — murzyn nadbiegł, — Bebraim szepce mu na ucho, i ręką pokazuje ku polowi — ten szybko odbiega.)

ZEFORA.

Cóż ci to? mów Lami —
Tyś drząca...

LAMI (wzruszona)

Tyle szczęścia dla serca biednego
Jakby być miało poprzednikiem gromu —
(Rzucając się na szyję Zefory)
O matko! gdyby można mówić łzami!

ZEFORA.

O córko moja...

Scena druga.

BEBRAIM (zbliża się)
Żono Manuego!

LAMI.
(zmciła się — patrzy chwilę w oczy Bebraima — nagle krzyknąwszy ucieka w kąt, i drżąc wyjąka)
Bebraim!!...
BEBRAIM.
Pana czy zastałem w domu?
ZEFORA (poglądając z trwogą)
Tak — nie wiem — dotąd niewrócił z winnicy.
BEBRAIM.
Mogę zaczekać —
(na stronie — patrząc bokiem na Lami.)
— więc nie omylono,
Lami jest tutaj, znalazłem ją przecie.
LAMI (drżąc)
Bebraim!...
BEBRAIM.
Pozwól Manuego żono
Zaczerpać wody u twojej krynicy
Dla mych wielbładów — pod twoim namiotem
Niech przewiew wiatru kurz z moich szat zmiecie;
Jestem zmęczony trudami podróży;
Przez nasze puszcze biegłem strusia lotem
Do Manuego zdążając w potrzebie.
ZEFORA.
Mój gościu! głos twój niech za rozkaz służy;
Błogosławieństwo wchodzi z gościem w progi;
Świeżemi szaty chciej obetrzeć siebie,
Ja sama z kurzu obmyję ci nogi.
BEBRAIM.
Dzięki wam, dzięki — za gościnne chęci!
Lecz dalszą podróż mając na pamięci
Chociaż niechętnie — wasz namiot opuszczę,
I wasze serca otwarte porzucę,
I znów wielbłąda zepchnąwszy na puszczę
Wrócę do domu — (rzucając wzrok na Lami ze znaczeniem)
lecz nie sam powrócę.
LAMI. (na stronie)
O Boże!
ZEFORA.
Wyście zapewne z daleka?
BEBRAIM.
Ku Gazie mieszkam — tam Besoru rzeka
Winnice moje jak w objęciu trzyma,
I moje pola, co nie mierzyć okiem,
Długo odbija źwierciadłem szerokiém;
A z pokolenia jestem Neftalima.
Chcąc trochę ulżyć nędzy memu bratu
Byłem u niego — i wracam z Tamatu.
ZEFORA (z radością)
Gościu mój — gościu! byliście w Tamacie?
BEBRAIM.
Czy tam z pokrewnych może kogo macie?
ZEFORA.
O! i najbliższy — bo tam syn mój młody
Przy dźwięku cytry odprawia swe gody.—
Gody weselne. — Ja z Manuem społem
Właśnie z Tamatu wróciliśmy wczora,
Bośmy nie chcieli okiem niewesołém
Ochmurzać uczty — a nam płakać pora.
BEBRAIM.
Czy syn wziął żonę nie po waszej woli?
ZEFORA.
Gdyby był zkochał którą z naszych córek
Co mu siostrami są w ciężkiej niewoli,
Co wybiegają na grobów pagorek,
Aby go ubrać kwiatami jasnemi,
Aby usłyszeć głos ojców z pod ziemi —
Choć one smutne i takie żałobne —
Jako ich kwiaty sadzone na grobie,
Chociaż z ich oczu niekiedy łza cicha
Płynie jak piołun do uciech kielicha,
Choć one stoją jak widma boleści
Nawet przy stopniach małżeńskiego łoża: —
Za to ich łono — jako arka boża
W świętym i czystym przybytku swym mieści
Wszystkie pamiątki narodowéj części;
Zato z ich piersi syn z mlekiem wysysa
Miłość dla kraju — nienawiść dla wroga, —
Dłoń, co niemowle to do snu kołysa
Wskaże mu drogę, co wiedzie do Boga.
LAMI (wyciągając ręce)
Matko!...
ZEFORA (smutnie)
A nasz syn upodobał sobie
Rozkoszną córkę wroga Filistyna,
Co pewnie kwiatów nie sadzi na grobie,
Ale je w czarne warkocze upina;
Co w dzień godową szatą się osłania,
A w nocy bogom fałszywym się kłania —
Jakichże ona może zrodzić synów? —
BEBRAIM.
To nie lubicie naszych Filistynów?
ZEFORA (surowo)
Synu Judei! śmiesz mnie pytać o to?
BEBRAIM.
Niech wam to — siostro — nie będzie dziwotą —
Właśnie myślałem, że jednemu z braci,
Który w téj chwili może gardło traci,
Lub na żelazie smaży się czerwoném
Lepiej - by było dla zmniejszenia kaźni
Z Filistynami być trochę w przyjaźni;
Ten nieszczęśliwy zowie się — Samsonem
(Lami drgnęła — podała się — lecz głos jej zamarł)
ZEFORA.
To syn mój!
BEBRAIM.
Niewiem — z pokolenia Danu —
ZEFORA.
To syn mój!

BEBRAIM.

Niewiem — poświęcony Panu —

ZEFORA.

To syn mój! syn mój!

BEBRAIM.

Niewiasto ja niewiem —

ZEFORA.

Lecz ty po sercu chodzisz mi zarzewiem —
Powiedz! czyś ty się sprzedał Filistynom?

BEBRAIM.

Córko Judei! śmiesz mię pytać o to?

ZEFORA.

Ale ja matka! ja matka! miej litość —
Powiedz jak było — jakim popadł winom —
Czy żyje jeszcze!?

BEBRAIM.

Z największą ochotą.
Powieść ta mieści pewną rozmaitość,
Którą ja lubię. — W Tamat na weselu,
Gdzie się zebrało Filistynów wielu,
Niejaki Samson z pokolenia Danu —
Wymyślał gadkę — pewnie po pijanu —
I poszedł w zakład, że kto ją rozwiąże
Trzydzieści sukień mieć będzie jak książe.—
Z całego miasta mędrcy się gromadzą
Po nocach nie śpią a nad gadką radzą;
Czas naznaczony uchodzi i mija,
A z długich obrad, z głośnego hałasu
Żadna myśl jasna im się nie wywija. —
Tymczasem Samson przy swej młodej żonie
Szalał od śmiechu i używał wczasu.
Widząc Filistyn, że sam w bredniach tonie
Głębiej i głębiej — padł na wybieg nowy: —
Skrycie do żony poszedł Samsonowej,
I wymógł na niej, że podchlebstwem węża
Znaczenie gadki wymodli u męża.
I tak się stało — przy miłośnym trunku
Samson wymówił słowo w pocałunku;
I wnet Filistyn podchwycił to słowo,
I rano gadki znaczenie ogłosił,
I o trzydzieśei szat wygranych prosił.
Samson ich nie miał; — lecz nadrobił głową —
Może się tajnie naradził z Jehową —
Wybiegł za miasto, a przy Askalonie
Trzydziestu mężów zdybał na zagonie..
Wszystko szło dobrze — w krótce Samson wrócił,
I szat trzydzieści Filistynom rzucił —
Dług był spłacony! ale na nieszczęście
Na szatach danych przez waszego syna
Były czerwone plamy — nie od wina! —
I takie znaki, jakie wściekłe pięście
Zostawić mogą w rozpaczliwej walce,
Lub ząb co w bolu rękawy potarga
Aby mógł ugryść odsłonięte palce —
Z tych plam i znaków biła głośna skarga!
Czy dotąd jeszcze Samsona szukają,
Czy go na słupie rozdrożnym wieszają,
Czy głodne wilki u stóp jego siedzą,
Nie wiem. — W Tamacie o tém tylko wiedzą,
Że on trzydziestu Filistynów zabił,
Ciała dał krukom — a suknie zagrabił.

(z ironią)

Trzydziestu mężów zabił więc dla gadki —
Zapewne myśl tę wyssał z mlekiem matki, —

ZEFORA.

Synu mój — synu! tobie marnie ginąć
Z głupiej swawoli, z młodej krwi zapędu
Tobie się z wielkiém przeznaczeniem minąć,
A paść na drogę szaleństwa i błędu!...
O gdyby można we łzach się rozpłynąć!
Synu mój — synu!

LAMI.

Matko! matko! stój!
Nie bluźń! nie sarkaj — Jehowy się bój —
Drogą przeznaczeń już poszedł twój syn,
Jego ramieniem włada boży gniew —
A namaszczeniem był pierwszy ten czyn;
Czas sądu nadszedł — niechaj płynie krew! —

ZEFORA płacząc)

Synu mój — synu!

LAMI.

Matko! uśmierz ból —
Niechaj ten człowiek nie raduje się —
Na twoję ranę on dorzuca sól —
Patrz w uśmiech jego — Matko! słuchaj mnie
Wiesz kto on jest? —

(Bebraim przystąpił, i popatrzył jej w oczy — Lami zakrywa twarz, ucieka w kąt, i cicho wymawia) —

Bebraim!!

Scena trzecia.

MANUE.

(wchodzi główném wejściem — na progu obrócił się, i woła do głębi)

Jezaja!
Eljab gdy z Judą muły ponapaja
To w błoń je puścić samopas — ku łozom
Sami strożujcie winogradu wozom.
Aa! ogniami obłożyć pastwisko —
Mówią ze szakal ma tam legowisko

BEBRAIM (do wchodzącego)

Z Gazy przybyłem Manue do ciebie;
Przybyłem pilno — bo w pilnej potrzebie —
W namiot przyjęła mnie twoja niewiasta.
Jak w piasek w morzu, jak gwiazdy na niebie,
Jak liść na cedrze — niech ród twój porasta.

MANUE.

Witaj mi gościu! błogosławię chęci
Co cię tak chyżo w mój namiot zawiodła.
Podróżny żóraw krynicy nie męci —
Gość w domu święty, jako w niebie modła
Biednej Judei. — A z mojego progu
Noclężny pielgrzym gdy odjeżdża w Bogu
Błogosławieństwo rzuca na mnie z siodła —
Prawa przychodnia syn Judejski święci
Bo sam przychodniem był w Egipskiej ziemi.

ZEFORA.

Panie! posłuchaj —

MANUE.

Tyś tutaj Zeforo!
Czas, byś uczciła śpiewy wieczornemi
Jehowę — słońce za góry ucieka —

ZEFORA.

Panie! nasz Samson — błagam cię z pokorą —
Słońce zaczeka...

MANUE.

Ale Bóg nie czeka —
Idź!

(*Zefora skłania się i wychodzi wraz z Lami przez boczną zasłonę.*)

Śmierć Kopernika.

(Dokończenie.)

Dóm Kopernika był jednym z najskromniejszych we Warmii. Laboratorium, w którem przygotowywał leki dla ubogich; mała pracownia malarska, gdzie biegły zarowno w sztuce jak w naukach—malował swoj własny obraz, lub swoich przyjacioł, albo też zajmujące spomnienia z Rzymu i Bolonii; wreszcie komnata skromna lecz zawsze dla każdego otwarta, kto przychodził z żądaniem do jego sztuki lekarskiej, stołu lub kieski — składały całe pomieszkanie uczonego. Nad drzwiami znajdował się otwór owalny, przez który światło słoneczne w chwili południa padało na punkt stale oznaczony w przyległej komnacie. Był to zegar słoneczny naszego astronoma. Całą ozdobą komnaty gościnnej były wiersze pisane ręką jego, i przylepione nad kominem.

Wtej to komnacie zastał uczony kanonik owych dziesięciu chorych żądających pomocy jego. Rannych opatrzył, innym udzielił leków, każdemu z nich, jałmużny i pociechy. Sam zaś wypiwszy w pośpiechu czarkę mléka, miał właśnie puścić się do Fraunburga, kiedy jeździec spocony i zapylony przywiozł mu nowe poselstwo. Pełen niepokoju i strwożony odebrał list od przyjaciela swego Giżki, biskupa chełmińskiego.

„Niech nas Bóg ma w swojej opiece, pisał mu tenże, i niech odwróci cios, ktory Ci zagraża. Nieprzyjaciołom twoim i sprzysiężonym zazdrośnikom, co cię oskarżają o bałamucenie rozumu i o herezyę, powiodło się tak dobrze w rozdrażnieniu umysłów w Norymberdze przeciwko tobie, że motłoch po ulicach wyklina twe imię, że księża z kazalnic rzucają klątwę na ciebię, że Akademnia głośno domaga się exkomuniki, a uniwersytet dowiedziawszy się, iż dzieło twoje ma wyjść z pod prasy — zaprzysiągł zniszczyć warsztat drukarza razem z dziełem całego życia twego. Przybywaj czemprędzej by zażegnać tę burzę, bo boję się, byś już za póżno nieprzybył.”

Kopernik zaledwie zdołał doczytać; — siły go opuściły i padł zemdlony na ręce sługi swego. Kiedy przyszedł do siebie, zapytał go wysłaniec, mający polecenie zabrania go z sobą, czy gotów puścić się w podróż?.... Tak jest, odrzekł starzec z rezygnacyą, gotów jestem; — lecz nie do Norymbergi ani do Chełma. . . . We Frauenburgu chorzy i pokaleczeni oczekują mojej pomocy, — bez niej pomrzeć by mogli. Wrogi moje niech niszczą me dzieło jeśli tak chcą w swém zapamiętaniu. . . . lecz pędu gwiazd nie zatamują przecie.....

III.

W godzinę poźniej Kopernik był w Frauenburgu.

Machina zbudowana przez niego w tém miescie na szczycie pagórka, sprowadzała wodę z rzeczki pół mili odległej a to z taką siłą, iż woda obracała młyn przez samegoż astronoma zbudowany, i wznosiła się aż do wysokości dzwonicy kościelnej. Z mieszkańców każdy, zamiast usychać z pragnienia jak ich ojcowie, nie potrzebował nic, jak tylko pokręcić kurka by mieć u siebie krynicę.

Dniem wprzód zepsuła się maszyna, a to tém bardziej nie na rękę, ile że przypadał odpust miejscowy. Lecz ksiądz kanonik na pierwsze wejrzenie odgadł w czem chyba, a w kilka godzin woda jak dawniej posłuszna mistrzowi płynęła.

Ma się rozumieć, iż pierwsze staranie poświęcił owym biedakom, ktorzy przy maszynie do kalectwa przszyli. Opatrzył ich nogi pogruchotane, obwiązał i umocował w łupki, i przyrzekł powrócić nazajutrz . . . .

Lecz nad nim samym wisiał cios, który mu właśnie dnia tego miał rozedrzéć serce.

Powracając przez miasto, ujrzał na rynku wzniesione rusztowanie komedyantów — otoczone mnogim ludem. Teatr przedstawiał obserwatorium astronomiczne napełnione różnemi narzędziami dziwotwornemi i śmiesznemi. Pośród nich stał starzec — ubrany od stóp do głowy zupełnie jak Kopernik. Podobieństwo było tak uderzające, że on sam w przejeździe poznał się w przedstawieniu, i zatrzymał zdumiony. Za komedyantem mającym wielkiego męża podać na pośmiewisko powszechne, czaił się djabeł, którego łacno było poznać po pazorach, ogonie i po rogach, a który pociągając za nitki umocowane do uszu pierwszego — kierował nim w ruchach i w mowie jakby łątewką. A uszy — ma się rozumieć — były ośle, i ogromnej długości. Parodya składała się z kilku obrazów. W pierwszem astronom zapisywał duszę szatanowi paląc egzemplarz biblii i depcąc krzyż nogami.— W drugiem wykładał swój system igrając jabłkami jak planetami; podrzucał je, a one krążyły około głowy jego zamienionej w słońce za pomo-

cą świeczek ze smoły.— W trzeciem przedstawiał się jako szarlatan, doktor nagniotkowy, przekupień olejków i maści; przemawiał do przechodzących łaciną kuchenną sprzedając im za drogie pieniądze wodę kryniczną, sam zaś pił doskonałe wino do upadłego.— W ostatniem nakoniec został wyklętym przez Boga i ludzi; w bałwanach dymu i ognia siarczystego unosił go djabeł do piekieł, a tam za karę, że się poważył chcieć zachwiać niewzruszoną posadę ziemi zawieszał go na całą wieczność do góry nogami.

Patrząc na to widowisko plugawe, w którém gieniusza i cnoty jego publicznie wyśmiewano, umiejętność i naukę jego przedzierzgano w szarlatanizm, bezinteresowność jego w oszustwo, wiarę jego w bezbożność — całą wreszcie osobę podano na szyderstwo ludzi i potępienie Boga — uczuł Kopernik, że mu się serce ścisnęło, i że go wiara w sprawiedliwość i opatrzność boską opuszczała. — Lecz jeszcze powziął nadzieję, że mieszkańcy Frauenburga, bywszy świadkami i przedmiotem jego poświęceń przez lat piędziesiąt, ujmą się szarpanej tak niegodnie sławy jego, i komedyantów wraz z haniebnym teatrem do góry nogami przewrócą.... Lecz jakże zdziwił i osłupiał widząc i słysząc tych, których codziennie prawie obsypywał dobrodziejstwami, poklaskujących swym niegodnym oszczercom!... Daremnie silił się zebrać całą przytomność ducha — cios ten był nad siły jego — Zawrót głowy go opanował, i padł na bruk omdlały.

Hałas, który się stał przez to, zwrócił uwagę ludu w tę stronę. Poznano kanonika — ojca i dobrodzieja, i imię Kopernika podano sobie z ust do ust. Przypomniano sobie, że właśnie dnia tego całemu miastu w pomoc przybył; i że zwykłą zmiennością lud przed chwilą niepamiętny i szydzący uniosł się zapałem wdzięczności, rozpędził komedyantów, a Kopernika otoczył i uniósł w tryumfie.

Lecz on już nie był w stanie pocieszyć się przywiązaniem tych ludzi. Wycieńczony pracą nocy poprzednich, znużony trudami i złamany wzruszeniami dnia tego, padając skaleczył się śmiertelnie. Ocucony zaledwie na tyle sił się zdobył, by prosić o lektykę, w której odniesiono go do Warmii— umierającego.

IV.

Żył jednak jeszcze przez dni pięć, podczas których jeszcze wiele przecierpieć, wiele wzruszeń przenieść musiał. Zaraz nazajutrz przybył list od przyjaciela z Norymbergii, potwierdzający smutne obawy biskupa chełmińskiego. Po trzykroć bowiem młodzież szkolna usiłowała przemocą zdobyć drukarnię, z której wypłynąć miało światło dla wieków następnych.

„Dziś rano, pisał Retikus, te zapamiętalce chcieli nas podpalić. Zebrałem wszystkich przyjaciół. Dzień i noc czuwamy strzegąc bram i czeladzi. Drukarze pracują przy prasach, a tuż pod ręką broń przygotowana. Dwa dni jeszcze tylko, by dziesięć przynajmniej egzemplarzy dzieła twego odbito, a uratowaném będzie, i nic go już zniszczyć nie zdoła;— lecz gdyby nas jutro lub pojutrze posiedli«...

Nie kończył Retikus, lecz Kopernik z boleścią w duszy dokończał u siebie myśl jego.

Dnia następnego nowa wiadomość, i nowa niepomyślność nadeszła. „Jeden z układaczy przekupiony wydał przeciwnikom rękopismo Kopernikowe, które też publicznie pod gołém niebem spalono. Szczęście, że złożenie już było skończone; właśnie poczęto je odbijać...; lecz nowe zaburzenie mogłoby wszystko zniweczyć, a kupy gwarliwe zaczynają się gromadzić około drukarni...“

Śród tak męczących obaw i oczekiwań leżał Kopernik na śmiertelnej pościeli. Praca całego życia, sława i imie jego ujdą przed wściekłością fanatyzmu, czy zaginą jeszcze przed nim? Któż pojmie męki takiej niepewności?—

Wątłe życie staruszka stargało się walką tą doreszty. Śmierć widocznie już poczęła osłaniać swą cienią zbolałą duszę, kiedy nadbiegł jeździec kurząc się od znoju, i okryty pyłem. Wstąpił w dóm bez tchu jak ow wojownik z pod Maratonu.

I jak ów żołnierz grecki zwiastował zwycięztwo. Przywiózł na piersi przymocowaną księgę — jeszcze wilgotną; a tą księgą było nieśmiertelne dzieło Kopernika!

Dzieło rąk bożych objawioném wreszcie zostało człowieczeństwu. Po raz drugi słońce rozjaśniło ciemności świata!

Dogorywający Kopernik odżył na chwilę ostatnią. W drżące dłonie ujął swą księgę, i przejrzał ją gasnącym wzrokiem. I jak męczennik wybrany widzący w chwili skonania roztwierające się niebo — wyrzekł z uśmiechem:

„*Nunc dimittis servum tuum Domine!*“ (*Teraz o panie wypuść sługę twego!*) westchnął, i z ostatniém westchnieniem duch ten wielki uleciał w niebiosa.

Było to o świcie dnia 23 Maja; na niebie wszystkie gwiazdy jaśniały — na ziemi wszystkie kwiaty oddychały wonią; cała przyroda jaśniała pięknością, jakby święciła ostatnią chwilę swego objawiciela.

Kopernik Mikołaj aż do grobu był nękanym i prześladowanym. Stolica apostolska na dedykacyę odpowiedziała mu wyklęciem dzieła jego. Lecz chociaż późno — dzieło to uzyskało zadośćuczynienie; bo taż sama stolica rzymska uznała nareszcie wielkość gieniuszu i wiarę nieposzlakowaną astronoma Warmińskiego.

Prusacy, jako zdobywcy niesprawiedliwi i niewdzięczni, uczynili z obserwatorium Kopernika więzienie, a z domu jego dziś kamień po kamieniu odpada. Lecz Polska, matka jego — połączyła siły ostatnich dziatek swych, i za ostatni grosz postawiła mu pomnik w Krakowie, i posąg w Warszawie wykonany przez Torwaldsena, największego swego czasu rzeźbiarza.

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej A. B. Winiarza we Lwowie, przy ulicy krakowskiej p. l. 77.